

MARGRABIA

ALEXANDER WIELOPOLSKI

RYS BIOGRAFICZNY

Przez J. N. J.

Dobrych, którzy są, chwale, i Bogu zalecam;
Złych ganię, i że tacy, z ojczyzną narzekam.
Krzysztof OPALIŃSKI.

Prywata i Publica, to niby noc do dnia;
To jak ogień i woda, jak cnota i zbrodnia.
Wincenty POL.

PARYŻ

W KSIĘGARNI POLSKIEJ

RUE DE SEINE, 20

1861



196494

K-80/89

Pod koniec roku zeszłego, trzej ciemieży Polski umyślili zjechać się razem w Warszawie. Zniepokojem obrotem spraw włoskich, chcieli oni tam, jeżeli nie nowe knuć znowy, to przynajmniej ponowić te, jakie ich poprzednicy r. 1834 w München-Grätz uknuli. Rozumiejac zaś w zaślepieniu swoim, że postrojnem jarzmem przygnieciony naród już zmośkalal i zniemczał, spodziewali się zarazem upokorzyć go bezkarnie. Ale nieśmiertelny duch Polski czuwał nad jęj stolicą, i « krwiożercze bożyszcza, co — jak je nazwał książę d'Harcourt — mienia się reprezentantami Boga na ziemi a depeca święte przepisy jego ewangelii, » musiały wnet opuścić wstrętne sobie miasto. Godna to była postawa Warszawy, objawiającej ducha całej Polski, na widok trzech koronowanych jęj wrogów.

Odtąd opinia publiczna w stolicy i w całym narodzie zaczęła się wzmaczać co raz widoczniej. Młodzież mianowicie dawała jęj popęd; bo Bóg złożył w sercu młodzieży zaród najszlachetniejszych popędów. Nie zadługo też przyszło w Warszawie do obchodu trzydziestej rocznicy, naprzód 29 Listopada, a potem bitwy grochowskiej. Życiem lub kalectwem opłacili nie jeden swój udział w tym ostatnim uczuciu patriotycznych objawie, który miał być, równie jak pierwszy, spokojnym; ale okazałszy i już niewyłącznie kościelnym. Namiestnik carski, zdumiony a raczej stwożony niesłychaną ze strony ludu pogardą życia — i bądź że nie miał na razie dosyć żołdactwa pod ręką, bądź że temu, jakie miał wówczas, niezupełnie ufał — wstrzymał się od dalszych napadów na bezbronne tłumy; owszem, zdawał się żałować krwawego zajścia, i zezwolił na uczczenie niewinnych ofiar uroczystym pogrzebem. Pogrzeb, istotnie, pod kierunkiem improwizowanej władzy miejskiej i przy pomocy młodzieży szkolnej, odbył się z nadzwyczajną okazałością i w zupełnym porządku, lubo przeszło sto tysięcy ludu wzięło w nim udział.

Wszystkie stany i wszystkie wyznania — na wieczną pamięć tego dnia żałoby — okazały się tak zgodnemi i tak jednomyślnemi, że natchniony tym widokiem poeta mógł zawołać w uniesieniu :

I cały naród stał się wielkim dzwonem,
Gdzie jedno serce uderza.

Od pogrzebu poległych w d. 27 Lutego i od współczesnego mu adresu do cara, przez cały miesiąc z podziwieniem przypatrywała się Europa, jak naród polski, obwołany przez świat urzędowy za obumarły, poczuwał się w całym jestwie swoim; przekonała się też dowodnie, że obcy ucisk nie zmoskalił ani nie zniemczył Polaków, ale ich owszem wszystkich zahartował w miłości ojczyzny, i ściśle pobrała z sobą. W tém przekonaniu utwierdziły oświeconą ludową Europę krwawsze od pierwszych sceny z d. 8 Kwietnia, i Europa wierzy już teraz, że u Polaków ojczyzna jest ideałem, za który oni wszyscy, bez różnicy stanu i wyznania, gotowi nieść życie w ofierze; że zatem przy takim zespoleniu wszystkich serc i umysłów, odrodzenie Polski może być już tylko zadaniem czasu.

Tylko zadaniem czasu! Takby być powinno, i ten czas nawet byłby niedługi, gdyby w całym narodzie, jak w ludzie warszawskim, ostatnich dni Lutego, zapanował istotnie ten sam duch jedności i poświęcenia dla wspólnej wszystkim sprawy; bo nie ma siły na utrzymanie w niewoli przeszło dwudziestomilionowego narodu, mającego za hasło : « Wszystko przez wszystkich i dla wszystkich. »

Ale — na nieszczęście — z tego, co od miesiąca czytamy i słyszymy, tak pożądanego usposobienia nie ma jeszcze w całym narodzie, lubo tu i ówdzie są wyraźne jego oznaki. Tylko, pod względem różnicy wyznań religijnych, odwieczne przesady znikły już — zdaje się — na wieki, i za to Bogu wszyscy dziękować powinniśmy. Lecz co do drugiej, pod względem sił narodowych, jeszcze ważniejszej kwestyi, tak zwanęj *kwestyi włościańskiej*, nie dotąd ostatecznie nie zrobiono, i podobno nie się nie robi. Nie myślę ja — jak to czynią niektórzy — obwiniać Towarzystwa Rolniczego, jakoby od końca Lutego do 6 Kwietnia t. j. do dnia jego rozwiązania, nie było na wysokości patriotycznej, na której je opinia publiczna stawiała; bo uchwała jego, przyrzekająca włościanom własność gruntów po pewnym lat przeciągu, jest chwalebna i patriotyczna; bez wzięcia się do broni niepodobna było więcej zrobić, mimo woli i wbrew widokom nieprzyjawnego rządu. Nie można atoli nad tém nie ubolewać, że członkowie tego szanownego grona, za powrotem do domów, zapomnieli — zdaje się — zupełnie o naglającej i niezbędnej ze wszech miar

potrzebie uwłaszczenia włościan. Tak to zawsze u nas bywało : zebrani gromadnie gotowi jesteśmy zdobyć się na jakieś szlachetne postanowienie; lecz jak się tylko rozejdziemy, i każdy uda się w swoją stronę, zapominamy zaraz — *more majorum!* — o wszystkiem, prócz o samych sobie. Tak np. sejm czteroletni, uchwalwszy, w r. 1791, 100,000 wojska na obronę sławnej konstytucyi z d. 3 Maja, załimitował się zaraz 29 tegoż miesiąca, i rozjechał do domów, nie troszcząc się wcale, jakby skarb na ten cel zaopatrzyć; 100,000 też wojska pozostało na papierze! — Musi więc być, i po dziś dzień wiele prawdy w tych słowach Mickiewicza :

Nasz naród jak lawa :
Z wierzchu zimna i sucha, szorstka i plugawa;
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wygiebi;
Plwajmy na tę skorupę, i zstąpmy do głębi. —

Że są ludzie, stojący na zawadzie rozwojowi dążności narodowych, tak silnie i pięknie rozbudzonych, których ogniskiem nie przestała być Warszawa dla tego, że w niej moskiewski porządek znówu *de facto* zapanował, o tém nie ma wątpliwości. Są to tak zwani « rozsądni patryoci, » równie trudni do odgadnięcia i ocenienia jak są trudne do przeczytania napisy na starych medalach, jeszcze śniedzią grubo pokrytych. O nich z sądem można się wstrzymać i zostawić go czasowi, który jest ojcem prawdy. Lecz nie tak się rzecz ma co do jawnych i już niedwuznacznych odstępów sprawy narodowej, jakim jest człowiek, o którym mam mówić. Takich trzeba stawiać pod pręgierz opinii publicznej i piętnem niesławy naznaczać. Tacyt powiedział : *Pravis factis dictisve ex posteritate et infamia metus sit.*

Tym jawnym i niedwuznacznym odstępem jest Alexander margrabia Wielopolski. Dla czytających dzienniki polskie — z Krakowa, Galicyi i Poznańskiego — i niektóre francuskie, nie nowego może o nim nie powiem; ale że te wszystkie dzienniki niewielu ostatecznie rodaków czyta, warto i należy coś o nim dla powszechności powiedzieć. Jak zawsze tak i teraz, prócz miłości prawdy i ojczyzny, nic innego mojem piórem kierować nie będzie.

Wielopolscy, herbu *stary koń*, biorący swą nazwę od *Wielopola* w Krakowskiem, należeli z dawna do zamożniejszej szlachty; ale ich historia narodowa — można powiedzieć — nie zna, prócz Jana *Szafranca* Wielkopolskiego, który był marszałkiem, sejmu w r. 1661, a potem wojewodą krakowskim, i który w sporze jezuitów z akademią kra-

kowską, obstawiał za prawami tej ostatniej. Zresztą, dziś już nie ten czas, aby cnoty i zasługi przodków spadały prawem dziedzictwa na potomków. Dziś każdy, rad nierad, musi być dorobkowiczem pod tym względem; bo każdy, według wartości dzieł i postępów swoich, jest cenionym i uważanym; bo każdy, o tyle tylko zasługuje na szacunek publiczny, o ile się przyczynia do dobra powszechnego. a w miarę jak temu dobru szkodzi, wart wzdarda lub publicznego przekleństwa.

Leż, jeżeli nie mam co mówić o przodkach po mieczu tego wyrodnego Polaka, muszę nieco wspomnieć o jego przodkach po kądzieli. Tymi ostatnimi byli margrabiowie Myszkowscy, ordynaci na Pińczowie, po których on odziedziczył i tytuł i część dóbr, niegdyś bardzo rozległych.

Jedną z pięciu ordynacji (majoratów), które u nas istniały (*), była ordynacja Myszkowskich, założona 1601 r. Założyli ją Zygmunt i Piotr Myszkowscy, odziedziczywszy po swym stryju Piotrze Myszkowskim, naprzód plockim a potem krakowskim biskupie i księciu stewierskim, ogromną na owe czasy w gotowiznie sumę 8,000,000 złp. a prócz tego zamek Chroberz z obszerną włością, dalej: dobra Pińczów, Książ i Mirów w Krakowskim, Oryszów i Szymanów w Mazowszu, Wieprz w Szlasku i t. d. Ten Piotr Myszkowski, jak świadczy jego następca na biskupstwie plockim, Stanisław Łubieński (*Opera historico-politica*), nim jeszcze został biskupem, przez swą chciwość i zabiegłość tyle już prebend posiadał, że był zwany proboszczem całej Polski. W pięć lat po śmierci swego stryja, biskupa i księcia, t. j. 1596 roku, Zygmunt Myszkowski mianowany został margrabią przez Klemensa VIII, papieża, a księżę Mantui, Wincenty Gonzaga, przypuścił go do herbu i nazwiska swego. Nowy margrabia, ulubieniec króla-jezuity, nie zadługo został marszałkiem wielkim koronnym; ale za swe śmieszne zagraniczne tytuły nienawidzonym był od szlachty; zwłaszcza, że go nigdy w potrzebie ojczyzny z orężem w ręku nie widziano; i bodaj, czy nie stąd poszło u szlachty w przysłowie to zdanie: «Lepszy rycerz niż panosza.»

(*) Nastąpiły u nas te instytucje feudalne w czasie, kiedy już Rzeczpospolita, chyliła się do upadku, za Zygmunta III, *koadjutora* jezuitów, z tytułu i uczynków. Dał im zaś początek Jan Zamoyski, jeszcze dotąd zwany *Wielkim* przez niektórych pisarzy. Prócz ordynacji Myszkowskich cztery inne były: Zamoyskich na Zamościu i Szezerzeszynie (1589 r.); Radziwiłłów na Olyce i Nieświeżu (r. 1589); Ostrogskich na Ostrogu (r. 1609), i nareszcie Sułkowskich na Rydzynie (r. 1775). «Ziemie tych pięciu ordynacji — mówi Adryan Krzyżanowski, autor szacownego dzieła: *Dawna Polska* — wynosiłyby dziś blisko połowę teraźniejszego Królestwa Polskiego. — Niechże kto powie, że u nas oligarchów nie było, i co znaczyło przy takiej różnicy majątkowej: «Szlachcie na zagrodzie, równy wojewodzie?»

W końcu XVII wieku ostatni margrabia Myszkowski zostawił córkę, która była za Jordanem i wnuczkę po synie, którego przeżył, wydaną za Wielopolskiego. Jordan miał opiekę nad małoletnią siostrzenicą żony, i chciał się przy margrabstwie utrzymać. Długie były procesa i zajazdy; w końcu Wielopolski wygrał ordynację. Od tego Wielopolskiego następował syn po ojcu aż do Józefa, urodzonego z Bielińskiej, siostry wielkiego marszałka nadwornego, za Stanisława Augusta. Ten mając tylko jedną córkę Krystynę, zamężną Bontani, a odziedziczywszy ordynację mocno przez ojca obdłużoną, wyjednał sobie u rządu austriackiego pozwolenie sprzedać część margrabstwa na zaspokojenie długów. To pozwolenie zatwierdzone zostało przez króla saskiego, jako księcia warszawskiego, w skutku czego Jan Olrych, mecenas przy sądach warszawskich, później od dóbr Szaniec Szanieckim nazwany, nabył wielką część margrabstwa, które oszacowano na 20,000,000. Sprzedaż przyniosła 8,000,000; 6,000,000 poszło na spłacenie wierzycieli, a 2,000,000 wyznaczono na posag margrabiance, zamężnej Bontani; z reszty zaś dóbr, wartości 12,000,000, postanowiono utworzyć nową ordynację na *Myszkowie* dla stryjecznego brata margrabi Józefa, a ojca dzisiejszego jawno-grzesznika politycznego.

Z tych kompanacji i rozporządzeń, tylko bratowa margrabi Józefa, sama jedna w całej rodzinie, nie była kontenta. Była to kobieta dumna i uparta; zdawało jej się, że syn jej pokrzywdzony, i że on koniecznie musi przysiąc do posiadania całej ordynacji; dla tego tak skierowała jego edukację, ażeby kiedyś mógł sam dochodzić rzekomych praw swoich (*). Jakoż zrobiła z niego prawoznawcę a w razie potrzeby i rzecznika; wpoila oraz weń trzy zalety rzadkie u Polaków: cierpliwość i wytrwałość w przedsięwzięciu, jako też oszczędność, równającą się sknérstwu.

Istotnie, Alexander Wielopolski, przyszedłszy do lat, i dzieląc przekonania matki, nie przyjął układu zawartego z ojcem, i rozpoczął sprawę o zniesienie sprzedaży części margrabstwa pińczowskiego. Wygrał on w pierwszej instancji w Kielcach; ale przegrał, na apelację Szanieckiego, w Warszawie; prawo tylko utworzenia nowej ordynacji,

(*) Nauczycielem domowym Wielopolskiego i mentorem jego w podróżach za granicą był Józef Goluchowski, dla wielu sławny tylko ze swego profesorskiego w Wilnie, razem z Lelewelem, i ze swego dzieła w języku niemieckim: *Die Philosophie im Verhältniss zum Leben ganzer Völker und einzelner Menschen*, ale dla tych co go bliżej znali, prócz wielu dziwactw, i z tego, że w swojej wsi Garbacz (w Sandomierskiem) garbował chłopom skórę, jak rzadko który szlachcic nawet za dawnych czasów.

z dóbr już istotnie przezeń posiadanych, potwierdzonem mu zostało. Nie poprzestając na tym wyroku sądu apelacyjnego, nasz młody pieniącz założył rekurs do sądu najwyższej instancji. Tymczasem rewolucya listopadowa przerwała tę głośną w całym kraju sprawę; samemu zaś Wielopolskiemu — dzięki systemowi, jaki nią kierował — otworzyła od razu pole do zajęcia niepośledniego stanowiska przy ówczesnym rządzie i do wniknięcia do sejmu. Po rewolucyi — w której się nie skompromitował, ani jako agent dyplomatyczny do Anglii, ani jako radca stanu i mówca rządowy w sejmie, w końcu ani jako poseł z powiatu grodzieńskiego(*) — zabawiwszy niejaki czas w Dreźnie, wrócił do kraju jako wierny poddany cara, i proces przerwany na nowo rozpoczął. Lecz — lubo niczego nie szczędził, ażeby na swojem postawić — lubo się nawet nie wahał po prostu spodlić, padając do nóg Paszkiewiczowi, i chcąc sobie tym sposobem wyblagać wpływ jego na sędziów — sprawiedliwość tryumf odniosła, i on proces przegrał. Retoryka i wszelkie zabiegi nie nie pomogły. Sprawa ta jednak długo się ciągnęła; bo dopiero w r. 1839 ukończoną została. Dumne paniątko dowodziło, że cesarz austriacki nie miał prawa wydawać, a Fryderyk August zatwierdzać pozwolenia na sprzedaż części dóbr, których całość — zdaniem feudalistów — jest nienaruszalna; dowodziło zaś tak, zapominając, czy nie chcąc wiedzieć o tém, że za księstwa warszawskiego nie obowiązywały *volumina legum*, ale kodeks francuski, nie znający majoratów czyli ordynacyj. Gdyby był Wielopolski wygrał, proszę sobie wystawić, ile to familij byłby on zrujnował; bo tak te, które były wierzycielami margrabięgo Józefa, jak i te, które później zostały nabywcami sprzedanej części dawniejszego margrabstwa.

Przegrawszy sprawę osiadł w dobrach, nową ordynacyą składających, i zrobił się domatorem; a żyjąc z oszczędnością, albo raczej — jak go matka nauczyła — z prawdziwym sknérstwem, powiększył znacznie majątek.

Rok 1846 jest bardzo ważną datą w życiu Wielopolskiego, bo datą jego jawnego przeniewierstwa względem sprawy narodowej. W tym roku, po rzezi galicyjskiej, Moskałe weszli do Krakowa, w zamiarze niby zasłonięcia mieszkańców przed wściekłością austriackiego generała Kollina, i byli tam dobrze

(*) Poza sejmem i sferą rządową, był Wielopolski, w r. 1831, jednym z filarów stronnictwa dyplomatyczno-arystokratycznego; był mianowicie jednym z założycieli i pisarzy wstecznego dziennika *Zjednoczenie*, i należał do tak zwanej *kataryj kamupowej*, która się roznoszeniem baśni dyplomatycznych trudniła. Po nocy 15 sierpnia forytował do dyktatury, wraz z kilku innymi, generała Henryka Dembińskiego, który miał zbawić Polskę powieszeniem siedemnastu klubistów, i t. d.

przyjęci, jak — w takim razie — byliby byli równie dobrze przyjęci i Prusacy. Chwilowe zajęcie Krakowa przez Moskała było wyrachowanym krokiem gabinetu petersburskiego. Car Mikołaj, wiedząc dobrze, jak za swoje srogie rządy w Polsce był ciągle obydźany w Europie, korzystał z owęj pory, i chciał się okazać wyższym i wspaniałomyślniejszym od Habsburgów, a przyléć zemścić się na nich za odmówienie synowi ręki jednej z arcyksiężniczek. Najlepszym tego dowodem było, że Moskałe, po kilkudniowym pobycie w Krakowie, opuścili to miasto, zostawiając mieszkańców na pastwę Austriaków, co Galicyan okrutnie mordowali. W tém atoli wszystkiém, a oraz w chętném przyjmowaniu szlachty galicyjskiej, uciekającej do Królestwa, Wielopolski widział jakieś sympatye carskie dla Polaków — co większa — wzajemność tych ostatnich. Z tego powodu wystąpił, pod d. 15 Kwietnia r. 1846, z listem do Metternicha, w języku francuskim (*), i lubo wystąpił bezimiennie, autorstwo jednak jego wkrótce się wydało. Pod maską oburzenia, jakiego doznawać musiało każde szlachetne serce na wspomnienie tylu i tak haniebných morderstw, Wielopolski, w tym liście, wyrzeka się ojczyzny, a — możnaby powiedzieć — i uczucia wszelkiej godności; rzuca się w objęcia drugiego, równie okrutnego i barbarzyńskiego nieprzyjaciela Polski, w objęcia cara moskiewskiego, i cały naród za sobą pociągnąć pragnie. Apostoł tak zwanego panslawizmu, od téj chwili stracił prawo do nazwiska Polaka i do jakiegokolwiek szacunku przeciwie myślących współziomków. Nikczemnik! śmiał raździć, aby naród polski w tych słowach odezwał się do cara:

« Przychodzimy oddać ci się, tobie *najwspaniałomyślniejszemu* z nieprzyjaciół naszych. Dotąd należeliśmy do ciebie » jako niewolnicy, przez podbój i grozę, i mieliśmy sobie za » nic przysięgi na nas wymuszone; *dziś zdobywasz sobie » nowe prawo nad nami*. Łącząc odtąd nasze losy z *losami » twego państwa*, oddajemy ci się jako ludzie *wolni*, którzy » mają odwagę uznać się zwycięzonymi; robimy to z *własnej » woli*, bez chępliwości i rachuby, z *serca i przekonania*, » Od dnia dzisiejszego stajesz się także dla nas, jak to już » byłeś pomimo nas, naszym panem z łaski Boga, którego » oddajemy się wyrokowi, objawianym w przeznaczeniu ludu » naszego. Porzucamy wszystkie nasze zasoby, owe sympatye » wyrachowane i zwodnicze, ową niekosztowną wymowę, » owe gwarancye i to wszystko, co ludzie ubierają w szumny » tytuł prawa narodów, resztki odzieży, jaką litość europejska

(*) Lettre d'un gentilhomme polonais sur les massacres de Galicie, adressée au prince de Metternich, à l'occasion de sa dépêche circulaire du 7 mars 1846.

» raczyła nas odziewać, a która jednak nie pokrywa ran i
 » hańby naszego ciała zbolalego. — Nie, nie wylamujemy się
 » z pod żadnego z *praw rządzących twém państwem; żadnych*
 » *warunków nie kładziemy; sam osądzisz, kiedy ci się spodoba*
 » *zwolnić surowość twych ustaw względem nas; a więc bez-*
 » *względnie poddajemy ci się.* Jedną tylko usłyszysz prośbę,
 » prośbę pokorna, zapisaną w naszych sercach palącemi gło-
 » skami; tę prośbę jedyną: *nie zostaw bez kary zbrodni po-*
 » *pełnionej przez cudzoziemca na braciach naszych w Galicyi,*
 » *a we krwi rozlanej, nie zapominaj krwi słowiańskiej, o*
 » *pomstę wołającej!*»

Ten laniebny pomysł samobójstwa narodowego, lubo już oddawna nie nowy i po głowach magnackich często się snujący, nie znalazł — Bogu dzięki! — prawie nigdzie odgłosu w sercach polskich. Ani w tak zwanem Królestwie, ani w tak zwanych ziemiach zabranych, nikt — przynajmniej wyrażnie i głośno — nie podzielił zdania renegata. Chwilowo tylko oświadczyła się za nim drobna cząstka szlachty galicyjskiej, przerażonej rzezią, i niektóre miłkie umysły w Poznańskiem. Z Poznańskiego wyszła jednak *Odpowiedź* Wielopolskiemu, kończąca się temi słowy: « Dopóki Bóg nie okaże się sam na błękicie nieba, i głosem piorunu nie ogłosi naszej zaguby, dopóty wierzę, i wierzyć będę w Polskę. » A tak nasz renegat musiał potem ucieknąć przed ogólną zgrozą, zwłaszcza, że swobodny druk polski za granicą stał się tej zgrozy organem, i należytą dał mu odprawę.

Nieprzyjacieli zachodniej cywilizacji i jej następstw, nie opuścił on jednak raz obranej drogi, i bądź co bądź, choćby sam jeden, postanowił nią dalej postępować. Jego nie tyle, zaiste, oburzyła sama rzeź galicyjska, ile przeraziła ta pewność, że w Polsce odrodzonej nie może już być miejsca dla żadnych, a żadnych przywilejów; że mianowicie kasta, do której on ze swego tytułu feudalnego należy, musi być rozwiązana, i zniknąć niepowrotnie. Z tej to niecennej pobudki pisał on list do Metternicha, spodziewając się znaleźć licznych współników swęj apostazy! Co mu po ojczyźnie! alboż u takich, jak on, arystokratów i samolubów nie tam ojczyzna, gdzie im samym najlepiej?

Znając Wielopolskiego z młkiem macierzyńskiem wysane pryncypia arystokratyczne, jego dumę i samolubstwo, łatwo sobie wytłómaczyć całe jego terazniejsze postępowanie. Wszystko, co on robi, staje się wówczas zrozumiałem, jasnym i — trzeba powiedzieć — loicznym, chociaż sumienie narodowe musi to wszystko uznać za niepocziwe i występne, jeżeli nie za zbrodnicze, w całym znaczeniu wyrazu. Co więcej, przyjaciele sprawy polskiej na Zachodzie, któ-

rych gabinet petersburski swą propagandą panslawistyczną już dawno zwracał uwagę na siebie, zaczynają znowu trwożyć się przyszłością, i jeden z dzienników francuskich powiada: « Gdyby pojęcia, które pan Wielopolski chce przeprowadzić, otrzymały zwycięstwo, Europa nie długo potem odpokutowałaby za błąd popełniony w przeszłym wieku i dotąd nienaprawiony: wielka federacja ludów słowiańskich, połączona z potęgą carów, i mogąca służyć za narzędzie jej ambicji, jest niebezpieczeństwem przewidzianem od dawna przez najprzenikliwszych mężów stanu... Jakoż zamysły, wychodzące teraz na jaw w Polsce, mogą byćż uważane za pierwszą zapowiedź złowrogich zdarzeń (des sinistres eventualités). »

Nie wdając się w uwagi, dla jakich mogłoby tu być jeszcze miejsce, i zmierzając ku końcowi, przypatrzmy się wydatniejszym przynajmniej postępkom godnego następcy Muchanowa, który już dziś powinienby zmienić nazwisko, jak zmienił uczucia polskie, i nazywać się Wielopolów lub Wielopolców, nie Wielopolski.

Powiększywszy on — jak namieniłem — majątek, a pożerany ciągle żądzą osobistego znaczenia, *per fas et per nefas*, chciał, jeszcze za Mikołaja, wniknąć do zarządu Królestwa; radby był tym sposobem okazać, że nie samém słowem pragnie służyć polityce carskiej; ale mu się to jakoś nie udało. Dla tego nie przestał żywić nadziei związania się jakąś nitką z rządem. Wkrótce nadarzyła mu się sposobność do tego. Mikołaj, widząc, że młodzież szlachecka z Królestwa nie zaciąga się do służby wojskowej, oświadczył życzenie, ażeby przynajmniej możniejsze domy swych synów do niej oddawały. Wielopolski pospieszył natychmiast oddać do pierwszego pułku ułanów syna swego Zygmunta, który jest dziś adjutantem generała Paniutyna. W tém oba — car i Wielopolski — szli za tradycjami swoich poprzedników; carowie bowiem od stu lat w potomkach magnatów polskich chcieli zawsze mieć niejako zakładników uległości całego narodu, a ci nie wahali się nigdy, prawie bez wyjątku, przyjmować na siebie tego charakteru, i służyli im duszą i ciałem. Wielopolski oddał syna do wojska moskiewskiego i dla tego, że będąc w ciągłych procesach, potrzebował poparcia różnych figur rządowych; bo, jak już namieniłem, jestto pieniącz *nec plus ultra*. Pienia się może nie tylko z interesu, ale i przez próżność, zdaje mu się bowiem, że on przed krótkami sądowni bardzo wymowny. I tak np. z rodzeństwem Konstantego Swidzińskiego przez całe cztery lata prowadził sprawę o zapis tego ostatniego, będąc jego krewnym, i zakończył takową ustępstwem ze swęj strony;

ale miło mu, zdaje się, było szarpać przeciwników i rzucać na nich wszystkie pociski, na jakie tylko mógł się zdobyć satyryczny i wyniosły jego umysł.

Nie mogąc wniknąć do służby rządowej — bo chciał zapewne od razu zostać tēm, czēm dziś jest — trzymał się na uboczu aż do wypadków warszawskich przy końcu Lutego. Nie należał do żadnego ze zbiorowych usiłowań, mających na celu choć częściowe polepszenie, bądź materyjalnego, bądź moralnego bytu mieszkańców Królestwa. Był mianowicie jednym z bardzo niewielu właścicieli ziemskich, którzy do Towarzystwa Rolniczego nie przystąpili. W końcu atoli Lutego, zaraz się osądził, w zrozumiłości swojej, niezbędnym człowiekiem w tēm towarzystwie; roił sobie, że dosyć mu będzie pokazać się w gronie jego członków, aby stanąć na czele. W tym celu napisał projekt podania do cara, i przedłożył go do podpisu zebranemu wówczas w Warszawie towarzystwu. To podanie — z talentem zresztą napisane — miało się domagać reform dla Królestwa « przez wzgląd na ogólny rozwój w samém cesarstwie; » ale miało także wyrażać żal za orężne powstanie w r. 1831. Ten ostatni punkt, nie dający się pogodzić z mocnym postanowieniem towarzystwa nieprzybijania na siebie charakteru politycznego, udermił zamiar Wielopolskiego. Wszakże wkrótce potem — bo zaraz 27 Lutego — Towarzystwo Rolnicze, z upoważnienia Gorczakowa, przybrało charakter polityczny i wygotowało wspomniony już adres do cara, adres śmiały i wysoką godnością narodową nacechowany (*). Tysiące podpisów okryło zaraz takowy; tylko nasz jawny panslawista i aspirant do władzy nie chciał go podpisać, i synowi podpisać zakazał. Co więc, Wielopolski, widząc tak niepomysłny swoim widokom obrot rzeczy, tak dalece wpadł był w zły humor, iż kazał ogłosić w dzienniku urzędowym, że wyjeżdża do Krakowa.

Niebawem atoli, czy sam wrócił, czy przywołany został z drogi. Jak się tylko znowu pojawił, generał Paniutyn nie omieszkiał go zaraz przedstawić Gorczakowowi, który z całem otoczeniem swoim stracił już był głowę. Nietrudno też było Wielopolskiemu opanować umysł namiestnika carskiego, który nie wiedział istotnie, co począć. Ten ostatni widział już wprawdzie, że nie sposób mu było utrzymać na miejscu Muchanowa; ale kogo powołać na jego następcę — aby znowu na nim, jak na tamtym polegać — wahał się w wyborze. Rad więc był niezmiernie, że mu się następcą jeden z pa-

nów polskich, godzien zaufania cara i gotów działać po jego woli.

Wielopolski został tylko w części następcą Muchanowa; bo tylko dyrektorem głównym wyznań religijnych i oświecenia publicznego, jako osobnej oddział komisji rządowej (komisją bowiem spraw wewnętrznych oddano ostatecznie adjutantowi carskiemu Giecwiczowi); ale wpływ na Gorczakowa po Muchanowie cały ogarnął, a nawet go powiększył, bo sprawuje tymczasowo i obowiązki dyrektora głównego sprawiedliwości, których się naprzód Drzewiecki a potem Jan Kanty Wołowski, po 8. Kwietnia, podjąć nie chcieli. Jego przeszłość w samotności lub za granicą spędzona, jego mniej więcej znane sympatyje dla Moskali a lekceważnie uczuć patriotycznych, jego pycha bez granic i pogarda opinii publicznej, « bez której — jak zwykł mawiać — obojędź się może, jeźliby jej zaś zapotrzebował, to ją sobie zaabonuje » — wszystko to nie mogło nic dobrego rokować.

Jakoż pierwsze jego kroki urzędowe przekonały zaraz i tych, co w nim jeszcze jakakolwiek ufność pokładali, że on prócz nazwiska, nie ma nic polskiego. Liczne rozporządzenia i przemowy jego do przychodzących do niego deputacji, są tego dowodem. Jego przemowa mianowicie do deputacji duchowieństwa katolickiego oburzyła wszystkich; przemawiał bowiem do niej jakby jaki udzielną carzyk; dotykając mianowicie oporu stawianego muchanowskim rządowi przez duchowieństwo katolickie, wyrzucał mu jego patryotyczne uczucia, i nie wahał się grozić, że on « rządów żadnych w rządzie nie uzna (*). » Ten postępek nie mógł ujdź odpowiedzi ze strony duchowieństwa katolickiego; niebawem też pokazała się w druku taka odpowiedź, a w niej przy końcu wyrażono, że skoro pan dyrektor « staje w obronie zamiarów rządowych... z drugiej strony, całe duchowieństwo polskie stanie w imię Boże do dawnej wytrwałej, choć niemiej i przemocą tłumionej walki, w obronie wiary, sumienia, praw i wolności narodu polskiego. » « Zwycięstwo — dodali piszący — w ręku Boga. Jego miłosierdziu ufamy z pokorą. »

Rospoczynając po muchanowsku z duchowieństwem katolickiem walkę, wydał Wielopolski rozporządzenie zakazujące śpiewania pieśni w kościołach, po skończonem nabożeństwie. W tēm rozporządzeniu wyraził, że tego pragną « władza duchowna, również jako też i świecka, » że « to samowolne wprowadzenie do świątyni pańskich śpiewów nieupoważnionych przez władzę duchowną, ublizła tej władzy,

(*) Adres ten wyszedł z grona Komitetu Towarzystwa Rolniczego, a mianowicie z pod biegłego pióra Edmunda Stawiskiego. Zob. Annexa, na końcu, n. I.

(*) Zob. Annexa, na końcu, n. II.

do której, starodawnym obyczajem ojców naszych, inicytywa w tej mierze zawsze należy. » Chciano więc głos, wyrwyjający się z piersi ludu, stłumić nie tylko na ulicach, ale i po kościołach. Tymczasem posłany do arcybiskupa Fijałkowskiego, z żądaniem podobnego zakazu, radca stanu Solnicki, odmowną odebrał odpowiedź. Sędziwy arcybiskup, w przytomności prałatów, oświadczył, że temu żądaniu z dwóch przyczyn zadość uczynić nie może; bo raz ze strony ludu nie się nie dzieje, co by się sprzeciwiało rytuałowi kościelnemu, a powtóre zakaz z ambon stałby się wielce niebezpieczny dla powagi duchownej władzy, gdyby lud nie zważając nań, szukał pomimo to w modłach i śpiewach ulgi w cierpieniu. Chodziło o zakaz pieśni: « Pod Twoją obronę. » « Święty Boże, » « Przed oczy Twoje Panie, » i « Boże, coś Polskę. » Ogłoszenie niezgodnego z prawdą rozporządzenia poczytał lud za targnięcie się na prawa kościoła, i wraz z duchowieństwem — które mu w tym przewodniczy — nie przestał dotąd, ile wiadomo, śpiewać owych pieśni. Przychodzi tylko stać czasem do zatargów z policją i żandarmeryą, które do kościołów są naselane.

W przemowie do deputacyi duchowieństwa starozakonnego, Wielopolski rzekł między innemi: « Nie miejcie, Panowie, obawy, iżbym ja podzielał dzisiejszego utworu zdanie tych, którzy wam to jakoś radzą i za warunek kładą, abyście przestali być tym, czém głównie jesteście, i z drogi przemysłu handlowego oraz z nim połączonych zajęć schodząc, zaprzegli się do pług. Rolników, moi Panowie, mieliśmy zawsze podostatkiem; zbywało tylko naszemu krajowi na poważnym, tak zwanym *trzecim stanie*, którego zaród przez Opatrzność w Was włożony, nieuznaniem marnieje. Wspólnych starań dołożmy, ażeby ten zaród się rozwinął. W tym jest społeczna wasza godność... » Tak mówić, nie było to chcieć obrażać sumienie narodowe i siać niezgodę między dopiero co pojeżdżanymi synami jednej ziemi, których zgubne przesady tak długo waśniły i rozdzielały? Ale Wielopolski, jako sługa carski i interesowany obrońca średniowiekowych wyobrażeń, jest w swojej roli. Wrodził nasi i ci wszyscy, co pod ich panowaniem schronienia dla swych przywilejów szukają, muszą pragnąć kast i rozdziałów w narodzie; bo inaczej nie ma dla nich przyszłości. Dla jednych i dla drugich musi być godłem: *Divide et impera!*

Jako dyrektor główny oświecenia publicznego, Wielopolski zamknął gimnazya lub niektóre klasy w Kielcach, Kaliszu, Radomiu, Piotrkowie i podobno w innych jeszcze miejscach. Uczynił to z powodu jakoby « niesforności uczniów. » Co ma ta « niesforność » znaczyć, objaśniać nie trzeba, bo u

niego niesfornem duchowieństwo katolickie; niesfornym cały — można powiedzieć — naród, bez różnicy wyznania i stanu. Nieszczęście to, zapewne, że młodzież szkolna traci czas na nauki przeznaczone; ale byłoby większe, gdyby we wszystkich ulegała ślepo kierunkowi swoich zwierzchników, którzy jej pewno na prawych synów ojczyzny kształcić nie myślą.

Dziełem Wielopolskiego, lubo pośredniem, jest także zniesienie w Warszawie miejscowej poczty, będącej dla 200,000 mieszkańców istotną potrzebą; ale zamknięto ją, bo i ona przewiniła, przynosząc rano i w wieczór mnóstwo listów bezimiennych jasnie panu margrabiemu, które mu krew psuły.

Rozwiązanie atoli Towarzystwa Rolniczego, na które Wielopolski — jak sam wyznaje — głównie wpłynął, jest najhambniejszym i w skutkach swoich najwystępniejszym ze wszystkich jego czynów. Przekleństwa tyłu rodzin za krew w d. 8 Kwietnia przelaną, na jego głowę spaść powinny. Lud zaufał był rządowi, i oczekiwał spokojnie przybiecanych mu zmian i ulepszeń od chwili, jak Gorczakow, między nim a sobą, uznał pośrednikiem Komitet Towarzystwa Rolniczego, i utrzymanie publicznej spokojności onemu ostatecznie poruczył. Gdy więc Towarzystwo Rolnicze nagle i nad wszelkie spodziewanie rozwiązaniem zostało, nie dziw, że lud zaprotestował, i chciał się domagać cofnięcia wydanego w tej mierze postanowienia rządowego. Po rozwiązaniu Towarzystwa Rolniczego (*), jedyne go organu właścicieli ziemskich, któryby był zapewne kwestyą uwłaszczenia włościan szczęśliwie przeprowadził, pozostały się z jednej strony tylko organa rządowe, powolne narzędzia polityki carskiej; a z drugiej strony, lud wiejski, prócz niecierpliwiej żądzy posiadania na własność gruntów, nie mający jasnego pojęcia kwestyi, i łatwo dający się баламучić nierzetelnymi wieściami, tak o manifestacie carskim jak o uchwale Towarzystwa Rolniczego w tym przedmiocie. Gdyby więc, z tego powodu, miało przyjść — czego Boże uchwaj! — do krwi rozlewu, odpowiedzialność za ten nowy krwi rozlew musiałaby głównie na Wielopolskim ciążyć.

Jak dalece zaś Wielopolski cieszy się i tryumfuje z dokonanych, d. 8 Kwietnia, mordów na bezbronnym i w zasadzkę wprowadzonym ludzie, dowodzą tego jego słowa, w dziennikach warszawskich z d. 10 Kwietnia ogłoszone i żadnego komentarza nie potrzebujące. Jako tymczasowy zastępca dyrektora głównego prezydującego w komisji rządowej sprawiedliwości, zgromadził on, w owym dniu, urzędników tej komisji oraz członków wszelkich władz sądowych, i tak

(*) Zob. Annexa, na końcu, n. III i n. IV.

rospoczął swoją do nich przemowę: « Ocalony, w krwawym niestety starciu, porządek publiczny, w ręce wasze oddać przychodzi. Waszą teraz już rzeczą, abyśmy to dobro społeczne dzierżyli odtąd w pokoju. Porządek publiczny nie może być z dnia na dzień wyzebrywany; ma on być na sobie samym oparty, niepożyty, co chwila samego siebie pewny..., i t. d. »

Mimo to wszystko zdawałoby się, że Wielopolski ma stronników, gotowych za niego wystąpić w szranki i kruszyć kopie. Kilku bowiem jakoby « Obywateli Królestwa Polskiego » staje, w *Dzienniku Poznańskim*, w jego obronie; stara się w dwóch bezimiennych artykułach nie tylko usprawiedliwić jego postępowanie, ale postawić je — jak się ten dziennik w uwagach swoich wyraża — « nawet za modłę cnoty obywatelskiej i prawdziwego rozumu stanu. » Niestety tylko, że z tych artykułów łatwo poznać pióro autora *Listu szlachcica polskiego do Metternicha*!

Rzekomi obrońcy Wielopolskiego rosprowadzają długo, i — trzeba przyznać — dość zręcznie o potrzebie pracy organicznej w Królestwie; ale na to odpowiada im nie mniej trafnie *Dziennik Poznański*: « Niestety! nie wszystko, co się pracą organiczną mianuje, jest nią w istocie; to, co się w Królestwie teraz dzieje, robi na wszystkich spokojniejszych i głębszych dostrzegaczach, wrażenie systemu gwałtownej reakcy antynarodowej, ubraną w płaszcz marnego formalizmu moskiewskiego, na pokaz dla świata, a nie dla czego innego. « Istotnie, Gorczakow, zaskoczony niesłychanym wzburzeniem umysłów, spuścił początkowo z tonu, a nawet przyobiecwał pewne ustępstwa i łaski carskie; ale jak tylko zgromadził dostateczną liczbę bagnetów i puszek na poskromienie tłumów ulicznych, użył ich za poduszczeniem Wielopolskiego. Krwawym też muszą być sztychami słowa tego ostatniego, wyrzuczone do kuzyna jego Rodryga Potockiego, który sam jeden z całej rodziny — jak głoszą dzienniki — śmiał go odwiedzić. Wielopolski miał mu rzec: « Wy mnie wszyscy nie jesteście w stanie rozumieć! »

Teraz Wielopolski stoi w zamku, pod opieką tych samych bagnetów, które strzegą Gorczakowa; a wyjeżdża tylko otoczony strażą, złożoną z czerkiesów i baszkierów. Nie ma co mówić, ten niesłychany cynizm oburza i oburzać musi każde serce polskie; kto wie jednak, czy on nie lepszy — bezwzględnie rzecz uważając — od dwuznacznego postępowania tak zwanych « rozsądnych patriotów: » boć to jest pewna, że lepszy nieprzyjaciel otwarty niż ukryty. Nie wchodząc w rozstrząsanie tego pytania, i zostawiając to czytelnikowi, powiem jeszcze o tym bohaterze cynizmu politycznego, że powszechnie

przypisują mu rozległą naukę i niepospolite zdolności przyrodzone; ma on pisać i mówić z wielką łatwością, a lubi pisać i mówić zarazem. Co do jego wymowy, wielu widzi w niej tylko dar wielomówstwa a raczej gadatliwości — *mera garrulitas studiumque immane loquendi*! Z powierzonej Wielopolski nie wygląda wcale na wielkiego pana; ale raczej na coś pośredniego między gburem a szlachcicem, na podstarościgo np. z dawnych czasów, opasłego i z miną rozkazującą. Jest silnie zbudowany, wzrostu dość wysokiego, twarzy okrągłej, czoła niskiego, oczu czarnych a cery ogorzalej. Ma lat przeszło 60.

Takim jest Alexander margrabia Wielopolski. Czy jest — jak go nazywam — jawnym odstępcą sprawy narodowej, w słowie i uczynku, czytelnik osądzi.

Nie kończę przecież jeszcze na tém; bo jak ten dla mnie niemiły, ale patriotycznym obowiązkiem nakazany mi życiorys, rozpocząłem wstępem o wypadkach warszawskich, tak kilku słowami z powodu tychże wypadków widzę go potrzebę i zakończyć.

Zapewne, mimo że boleść i żal po tylu niewinnych ofiarach ścisają serce, pokrzepia się i podnosi umysł, na jakąś nową co dzień wiadomość że nasz naród we wszystkich trzech zaborach poczuwa się w jestestwie swoim, i coraz wyraźniej przedstawia już spójniejszą niż kiedykolwiek całość. Jest wszędzie widoczny i chwalebny opór obcemu uciskowi; jest nawet więcej, bo jest już moralne, wobec świata, zwycięstwo nad głównym wrogiem, nad którym z resztą zawsześmy duchowo górowali. Zdaje mi się atoli, że już dość krwi popłynęło, dość zginęło ludu na ulicach warszawskich, i że tryumf sprawy narodowej nie zależy wcale na większej ilości ofiar, na obranej dotąd — chcę mówić — spokojnej czy rzekomo legalnej drodze. Na tej drodze zyskaliśmy już pochwały i podziwienie Europy, współczucie wszystkich mniej więcej wolnych lub do wolności wzdychających ludów, i słusznie; bo gotowość do poświęcania życia dla wspólnego dobra, nie może nie mieć wielbicieli wśród ludów oświeconych. Ale zastanówmy się tylko, czy ta droga jest dla nas właściwą? czy w obec rządu najeźdniczego, który za jedyne prawo swego postępowania ma wolę a częściej kaprys cara-samodzierzcy, może ona nas do celu doprowadzić? Że car i jego namiestnicy nie pozwolą już na niej ani jednego kroku zrobić o tém — podług mnie — przekonują aż nadto mordy z 25 i 27 Lutego na ulicach Warszawy, nadewszystko zaś mordy



z 8 Kwietnia i wszystko, co się teraz nie tylko w samą Warszawę, ale w całym Królestwie dzieje. Z resztą, dłuższe postępowanie tą drogą — gdyby było i podobne — mogłoby wprowadzić Europę w mylny o nas rozumienie, jakobyśmy tylko jakichś ulg, reform i ulepszeń od ciemieży żądali. My przecież nie tego ostatecznie żądamy; ale po prostu chcemy być narodem, «narodem odrębnym wśród ludów europejskich,» jak to dał dość jasno do zrozumienia carowi, przesłany mu adres z Warszawy — adres, do którego nie tylko z Królestwa, ale i z innych ziem dawniej Rzeczypospolitej równie chętne i tylko nie zewsząd równie głośne nadeszły przystąpienia. Car, w odpowiedzi na to przełożenie, nie powtórzył wprawdzie groźnych z roku 1856 słów swoich: «Precz z marzeniami! Wszystko, co mój ojciec zrobił, dobrze zrobione;» ale dla tego swojej polityki względem wynarodowienia nas nie zmienił. To widoczna ze wszystkiego, co się na słumienie ducha narodowego w ziemiach polskich dzieje. W takim położeniu rzeczy, powinniśmy zapewne stawiać ciągle opór obcemu ciemięstwu; lecz ponieważ nam chodzi o niepodległy byt narodowy, nie o jakieś ulgi i zmiany indywiduów w niezdolnej administracji moskiewskiej, powinniśmy głównie sposobić się do wystąpienia w całej potęgę narodowej. Będzie nam zaś potrzeba tak wystąpić, bo jakkolwiek poszanowanie narodowości zaczyna już wchodzić jako zasada w prawo narodów, każdy przeciw narod, ujarzmiony jak my, najlepszą rękojmią przyszłego swego bytu może mieć tylko w potęgę sił własnych. Tyle razy zawiedzeni, na obce pomoce spuszczać się nie możemy, i to nie ulega wątpliwości, że jeżeli w wielkim dziele odrodzenia naszego mamy mieć sprzymierzeńców, nie będziemy ich mieli, dopóki się sami przez się nie okażemy silnymi. Otóż — o co już tyle głosów wołało i woła — dla wydobywania spoczywającej w łonie narodu, a na skruszenie obcego jarzma niewątpliwie dostatecznej siły, potrzeba zniszczyć do reszty, to wszystko, co nas dotychczas słabymi czyniło. Połowa tego zadania, przez szczęśliwe pojednanie się wyznań religijnych na grobach męczenników warszawskich, już dokonana, i — ufność w Boga! — fanatyzm religijny na ziemi polskiej już głowy nie podniesie. Pozostaje do rozwiązania druga połowa tego zadania, a nią jest tak zwana *kwestya włościańska*. Nie chcąc i nie mogąc rozszerzać się w tym przedmiocie, powiem krótko, że szlachta polska w zaborze moskiewskim — pod karą przeniewierzenia się ojczyźnie — powinna teraz dowieść swojej gotowości do ofiary majątkowej; powinna się przejąć koniecznością poniesienia jej. Byle tylko zajrzała bezstronnie w stan rzeczy, musi się przekonać, że zwycięstwo zapewnione

bydź może tej tylko stronie, która do gruntownego działania na drodze uspołecznienia narodu przystąpi, i na nią wytrwa. Któż zaś dziś już nie wie, z codziennych na tyłu punktach objawów, że nasz lud wiejski, bez którego współudziału nie może być prawdziwej siły narodowej, przedewszystkiem do własności wzdycha, i że oczyszczanie nie chce; bo oczyszczanie, to tylko wieczysta lub długoletnia dzierżawa. A więc jedynie uwłaszczenie włościan, zaspokajając ich w nadaremnych dotąd oczekiwaniach, i podnosząc do stanowiska obywateli, zrodzi pożądaną jedność i siłę w narodzie. Albo się mylę albo to będzie dziełem ogółu szlachty, która z takimi jak Wielopolski odstępcami sprawy narodowej, nie ma nic wspólnego. I daj Boże, aby tak było! Gdyby zaś inaczej było, historia musiałaby zastosować do ogółu szlachty, co w swoim czasie czcigodnej pamięci Staszic wyrzekł o samych tylko panach, mówiąc, że *oni Polskę nieślawnie zgubili*.

Paryż, dnia 16 Maja 1861 roku.

ANNEXA.

I

Adres do cara.

« Najjaśniejszy Panie! Wypadki zasze obecnie w Warszawie, stan wzburzenia umysłów, jaki je wywołał i jaki po nich nastąpił, głębokie uczucie boleści, przejmujące wszystkich, powodują nas w imieniu kraju zanieść do tronu Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości prośbę, w nadziei, że szlachetne serce wysłucha głosu nieszczęśliwego narodu.

» Wypadki te, od których opisu wstrzymujemy się, nie są wybuchem społecznych namiętności jakiejś pojedynczej warstwy narodu; są one jednomyślnym i gorącym objawem tłumionych uczuć i niezaspokojonych potrzeb. Długoletnie cierpienia narodu od wielu wieków wolnymi instytucjami rządzącego się, pozbawienie go nawet wszelkiego organu legalnego, za pomocą którego mógłby pośrednio przemawiać do tronu i objawiać swoje życzenia i potrzeby, postawiły kraj w tém położeniu, że ofiarami tylko może głos podnieść; dla tego też poświęca ofiary.

» W duszy każdego mieszkańca tego kraju bije silne poczucie odrębnej wśród ludów europejskich narodowości. Poczucia tego ani czas, ani wpływ rozlicznych wypadków zniszczyć ani nawet osłabić nie zdołał. Wszystko, co je obraża i nadwiera, do głębi wstrząsa i niepokoi umysły.

» Widzi kraj z boleścią, że gdy potrzeba ta nie została zaspokojoną, powstał stąd brak zaufania, nieodzownego w stosunkach między rządzącymi a rządzonymi.

» Zaufanie to nie wróci póki użycie gwałtownych a bezskutecznych środków represyjnych nie ustanie.

» Kraj ten, równający się niegdyś stopniem cywilizacji z innemi krajami Europy, nie przyjdzie do rozwinięcia swych moralnych i materialnych zasobów tak długo, dopóki zasady płynące z ducha narodu, jego tradycy i historyi nie będą przeprowadzone w Kościele, w prawodawstwie, w wychowaniu publicznem, zgoda w całym społecznym organizmie.

» Życzenia tego kraju tém są gorętsze, że w rodzinie ludów europejskich on tylko już jeden pozbawiony jest tych koniecznych warunków bytu, bez których żadna społeczność dojść nie może do poznania celów, dla których ją Opatrzność do życia powołała.

» Składając wyraz cierpień i gorących życzeń naszych u stóp tronu, ufni we wspańiałość monarszą, odwołujemy się z zupełną wiarą do głębokiego uczucia sprawiedliwości Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości.

Warszawa, 27 Lutego, 1861 roku.

W odpowiedzi na powyższy adres, napisał car następujący list do Górczakowa, pod datą z Petersburga d. 9 Marca.

« Przeczytałem petycję, którą mi nadesłałeś. Powinienbym ją uwa-

żać za żadną i niebyłą; pewna bowiem liczba osób (!) pod pozorem nieporządków, wywołanych na ulicy, przywłaszcza sobie samowolnie prawo potępiania wszelkich działań rządu. Chcę jednakże widzieć w tém tylko uniesienie.

» Poświęcam wszelkie starania moje ważnym reformom, jakich bie czasu i rozwinięcie potrzeb, w państwie mojem, wymagają. Poddani moi Królestwa są przedmiotem również troskliwości mojej. Wszystko, co może zapewnić ich pomyślność, nie znajduje i nie znajdzie mnie obojętnym.

« Dałem im już dowody, że pragnę, aby brali udział w dobrodziejstwach z ulepszeń użytecznych, istotnych, postępowych. Pozostaje przy tych samych zamiarach i uczuciach. Mam prawo liczyć na to, że uczucia te znajdą uznanie, i nie będą zwichnięte przez żądania niewczesne lub przesadzone, których nie mógłbym pogodzić z dobrem moich poddanych. Dopelnę wszystkich moich obowiązków. W żadnym razie nieporządkom faktycznym pobłażać nie będę. Na takim gruncie nie się nie buduje. Pragnienia, któreby na nim szukały oparcia, już tém samém z góry sameby się potępiły. Zniweczyłyby one wszelkie zaufanie, i spotkałyby z mojej strony surową naganę; bo cofnęłyby kraj na drodze regularnego postępu, na której utrzymać go jest mojem niezmienném życzeniem.

II

Przemowa Wielopolskiego do deputacyi duchowieństwa katolickiego, mającej księdza biskupa Dekerta na czele.

« Dostojny księże Biskupie!

» Szanowni Pralaci i Ojcowie!

» W duchowieństwie tutaj obecném, rzymsko-katolickiem i uniickiem, pozdrawiam dzisiaj zwiastunów pokoju.

» Otworzoną w społeczeństwie przed oczyma naszemi przepaść, silne ramie Opatrzności zamykać poczyna, i po dniach żalości, nastaje pociecha, oby i wesele!

» I gdzież teraz mniej jest powodów żalu, jak w łonie duchowieństwa? Czujecie to z nami, a po długich doświadczeniach lepiej od nas, czém was obdarzył monarcha, ustanawiając osobną w kraju władzę dla spraw duchownych i, zwyczajem dawnym, powołując pastery kraju do rady krajowej.

» Kościołowi rzymsko-katolickiemu należy się szczególna moja wdzięczność: pamiętać o tém przyjdzie mi tém łatwiej, gdy wiara katolicka jest także moja i ojców moich wiara. Lecz tę moją życzliwość potrafię utrzymać na wodzy. Tak jest, dostojny księże Biskupie, Szanowni Pralaci i Ojcowie! Jestem dyrektorem władzy opiekującej się wszystkiemi wyznaniami, a wyznaniami w połączeniu z oświeceniem; nie zboczę więc z toru prawdziwej tolerancyi, jednego z wielkich nabytków wieku.

» Jestem członkiem Rządu N. Pana; nigdzie, o ile to we mnie będzie, a tém bardziej w moim zakresie, rządów żadnych w rządzie nie uznaję.

» Z pod ustaw postanowionych, nikomu samowolnie wylamywać się nie dam; wszakże chętnie słuchać będę uchem zażaleń na ścięśnienia; a gdy je uważać będę za słuszne, wedle mocy albo im zarażę, albo wyżej do łaskawego zarządzenia poniosę.

» Potrzeby kościołów i osób duchownych będę miał na pieczy.

» Ufam Waszej mądrości i umiarkowaniu; Wy, Szanowni Pano-
wie, dobrym moim chęciom zaufajcie.»

Odpowiedź duchowieństwa katolickiego Wielopolskiemu.

« Panie Dyrektorze! Mowa jego miana do przedstawionego sobie duchowieństwa katolickiego w dniu 2 Kwietnia r. b. wprowadziła wszystkich w zadumienie i napęliła serdeczną boleścią. Wszyscy kapłani katolicy w Polsce uważają ją jako groźbę niewywołaną niczem, jako zniewagę niesłuszną sobie wyrządzoną, i poczytują za konieczny i święty obowiązek zaprotestować głośno przeciwko wszystkiemu, co w niej nieuznaje naszych stosunków krajowych, obraża nasze sumienia i poniża godność naszą. Najprzód: cały charakter tej mowy odznacza się niezwykłą surowością, tonem stanowczym i rozkazującym, do którego nie przywykliśmy dotąd, na który nie zasłużyliśmy wcale, i którego w przemówieniu jego do przedstawicieli innych wyznań religijnych w kraju nie znajdujemy zupełnie. Dalej treść jej wyrzuca nam jakieś wylamywanie się z pod ustaw ustanowionych, naprowadza na domysł jakichś niesnasek i nieporozumień między nami a rządem, który poprzedził pana dyrektora, i takowe groźnie potępia. Tak, panie dyrektorze, ale to wylamywanie się z pod ustaw postanowionych, to była ciężka i bolesna praca nad zniweczeniem nieszczęśliwych skutków wydawanych przepisów, mających na celu demoralizację i znikczemnienie naszego narodu, a których ślady znajdziesz pan dyrektor w archiwach rządowych. Te nieporozumienia i niesnaski, to była trzydziestoletnia krwawa walka z przemocą i usiłowaniami potęgi fizycznej, chcąc pozbawić kraj świętej wiary naszej i narodowości, aby go zlać w jedną całość z narodem, obcym nam, religią i przeszłością, oświatą i uczuciem. Podobne zajścia są dla nas źródłem chłuby, szlachetnej dumy, a zarazem zachętą do wytrwania na podobnie zagrożonym stanowisku: a wątpimy, czy masz prawo, panie dyrektorze, jako Polak i katolik, i powołując się na przodków polskich i katolickich, wyrzucać nam tę walkę i wylamywanie się z pod ustaw postanowionych i rzucać na nas kamieniem potępienia. W reszcie ustępu mowy, który nam zapowiada, że pan dyrektor nie uznasz rządów w rządzie, nie rozumiemy dobrze. Czyżby to miało znaczyć, że pan dyrektor jesteś nieprzyjacielem tych szczątków samodzielnosci naszej, która broni kraj nasz od zupełnej zagłady; która a jedynie stawia nas w możności podjęcia i prowadzenia tej ustawicznej walki przeciw wszelkim zamachom na religię i narodowość naszą; że pan dyrektor wypełniając widoki rządu, chciałbyś zamienić duchowną naszą zwińczość w urzędników swojej kancelarii, a nas w ślepe narzędzia, uległe wszechwładnej woli rządu w jakimkolwiek bądź kierunku? Panie dyrektorze, człowiek, który przed panem zajmował dzisiejsze jego stanowisko, miał względem nas te same zamiary: ale brakowało mu odwagi do głośnego ich objawienia w obec

całego kraju, w obec całego ucywilizowanego świata. Pan dyrektor dopełniał go w tym względzie, i jako Polak katolik w obec zmarłych wstającą naszą ojczyznę, w obec nie wyschłych jeszcze łez, ciekącej krwi i niezagojonych jeszcze ran po trzydziestoletniej walce w obronie wszystkiego, co nam najdroższe na ziemi, przyrzekasz nam imieniem członka rządu Najj. Pana, że spełnisz to, czego tamten dokonać nie mógł. Postanowienie to, jakkolwiek zgodne z widokami rządu, sprzeciwia się jednak najświętszym interesom naszego kraju, starożytnym i ukochanym tradycjom naszego rozwoju dziejowego, a czego niepodobna, abyś sam w głębi duszy swój nie czuł.

» Na tej drodze spotkasz, panie dyrektorze, równą walkę, równą chęć wylamywania się z pod ustaw postanowionych, jak jego poprzednik. Z jednej strony pan, panie dyrektorze, jako potomek starożytnej rodziny polskiej, jako katolik i Polak, staniesz w obronie zamiarów rządowych centralizacji, tak błogie wydającej dziś owoce w ościeniem państwie: z drugiej strony całe duchowieństwo polskie stanie w imię Boże do dawnej wytrwałej, choć niemiej i przemocą tłumionej walki, w obronie wiary, sumienia, praw i wolności naszego narodu.

» Zwycięstwo w rękach Boga. Jego miłosierdziu ufamy z pokorą,»

Warszawa d. 4 Kwietnia 1861 r.

Prócz tej odpowiedzi, były i uboczne zwroty do przemowy Wielopolskiego w listach pasterskich niektórych biskupów i okólnikach administratorów nieobsadzonych biskupami dyecezyi. I tak ks. Myśliński, administrator dyecezyi plockiej w okólniku do duchowieństwa tej dyecezyi z d. 26 Marca, mówi: « Nim obraliśmy specjalny zawód w rodzinie społecznej, byliśmy wpróżd Polakami, obowiązani kochać tę ziemię, na której dzieńne ujrzeliśmy światło, a dla której z tego samego tytułu, powinniśmy bezustannie pracować, czuwać i poświęcać się. » Takim kapłanom: cześć!

III

Postanowienie Rady Administracyjnej Królestwa, rozwiązujące Towarzystwo Rolnicze.

(Ogłoszone w dziennikach 6 Kwietnia 1861 r.)

W imieniu N. Alexandra II, Cesarza Wszech Rosyi, Króla Polskiego, Wielkiego Księcia Finlandzkiego i t. d.

RADA ADMINISTRACYJNA KRÓLESTWA.

Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polskiem, ustanowione w jedynym celu podniesienia rolnictwa, przez położenie, jakie w tych czasach, pomimo ustawy swój, przybrało, dzisiejszym okolicznościom nie jest odpowiednie, z tego więc powodu za szczególnym upoważnieniem Jego Cesarsko-Królewskiej Mości stanowi:

ARTYKUŁ PIERWSZY. Towarzystwo Rolnicze ustanowione ukazem z d. 12 (24) listopada 1857 r. rozwiązuje się.

ART. 2. Komisya Rządowa spraw wewnętrznych przedstawi do wyższego zatwierdzenia projekt urządzenia w różnych miejscach Królestwa z brań (komisjów) rolniczych.

ART. 3. Remanent kasy towarzystwa przeniesiony będzie jako depozyt do banku polskiego, dla zwrotu komu z prawa należy.

Wykonanie niniejszego postanowienia, które w Dzienniku Praw zamieszczone być ma, Komisji Rządowej spraw wewnętrznych poleca się.

Namiestnik, generał-adjutant.

(podpisano) książę GORCZAKOW.

P. o. Dyrektora Głównego prezydującego w Kom. Rząd. spr. wew.

(podpisano) generał-major GECWICZ.

Sekretarz Stanu przy Radzie Administracyjnej.

(podpisano) J. KARNICKI.

IV

Komitet Towarzystwa Rolniczego przyszedł na ogólne zebranie tegoroczne z następującymi konkluzjami:

1. Zebranie ogólne uznaje, że pospiech w oczynszowaniu jest potrzebą kraju;

2. Uznaje, że w dobrowolności umów widzi właściwszą podstawę działania w przemianie stosunków włościańskich, dopóki nie będą wyczerpane wszelkie środki, w zakresie tej zasady będące; a obmyślenie tych środków za obowiązek obywatelski poczytuje;

3. Objawia życzenie, aby przez właściwie obmyśloną operację kredytową, skup czynszu na celu mającą, włościanie po ich oczynszowaniu doprowadzeni byli do własności nadanych im gruntów;

4. W końcu, aby utworzenie funduszu gromadzkiego było stałe i stanowczo z wykupem złączone.

Przeciw tym konkluzjom wystąpiła nieliczna mniejszość, pragnąca także oczynszowania, nieprzeciwna skupowi, ale rozumiejąca, iż naprzód jedną z tych operacji, z natury swojej trudnych, odbyć należy, a dopiero po ustaleniu stosunku czynszowego ułatwić skup dla stron, których zobowiązany interes żądałby tego, a tym łatwiej, że wedle kodexu francuskiego, czynsz wieczysty skupionym być może.

Niezmierna większość nie tylko potępiała dalszą zwłokę, ale idąc dalej niż Komitet, wniosła trzy poprawki w konkluzji:

1. Przez członka Skarżyńskiego, aby operacja oczynszowania była od razu połączona ze skupem, czyli od razu włościanie doprowadzeni do uwłaszczenia.

2 Członka Jackowskiego, aby w konkluzji 3, zamiast wyrazu *operacja*, był położony *instytucja*, i aby zgromadzenie natychmiast wybrało komisję do wypracowania projektu do takiej instytucji.

3. Członka hr. Potockiego, aby kapitał, czynsz reprezentujący, był zachowany jakoby przynoszący szósty procent, czyli innemi słowy, aby 1/5 kapitału włościanom darować.

Poprawki te wszystkie trzy przyjęte zostały; a tak Towarzystwo dnia 25 Lutego orzekło, że nie tylko włościanie mają być, równocześnie z oczynszowaniem, postawieni w możności skupienia czynszów; ale nadto kapitał, mający być amortyzowany, będzie obrachowany nie w stosunku 5 0/0, ale w stosunku 6 0/0.

Oto są fakta, z których przekonać się można, jakie było usposobienie właścicieli czyli szlachty polskiej w sprawie włościańskiej.

(Zob. Dziennik Poznański, z d. 14 marca 1861).



196494